



Jon Bauer

KAMYKI W BRZUCHU

Tytuł oryginału: Rocks in the Belly

Tłumaczenie: Katarzyna Rojek

Projekt okładki: ULABUKA

ISBN: 978-83-246-6572-3

Copyright © 2010 by Jon Bauer

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Polish edition copyright © 2013 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Fotografia na okładce została wykorzystana za zgodą Shutterstock.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

2.

Rząd mówi, że dzieciom, które nie skończyły trzynastu lat, nie wolno siedzieć na przednim siedzeniu, a każdy, kto siedzi z przodu, musi zapiąć pasy bezpieczeństwa. Klik. Z tyłu nie muszę się zapinać, co jest pewną nagrodą pocieszenia za niesiedzenie z przodu, ale tak naprawdę zawsze chcę być w centrum dowodzenia.

Tata tak mówi, kiedy sadza mnie z przodu. Zwykle jak tylko znikamy Mamie z oczu, zaraz za rogiem. Muszę siedzieć na apteczce samochodowej, bo fotel jest za niski.

Za każdym razem, kiedy się wdrapuję na siedzenie, Tata pyta, kiedy się urodziłem, a ja mam podać dzisiejszą datę, tylko że trzynaście lat temu, jakbym właśnie kończył trzynaście lat. Poza tym mam wyglądać na pewnego siebie, kiedy będę to powtarzał policjantowi, który nas złapie, a potem powiedzieć, że właśnie jedziemy świętować do McDonalda.

Tata mówi, że tak naprawdę nie jest ważne, co się mówi, trzeba tylko między kłamstwa włożyć kilka faktów. Więc gdyby nas zatrzymała policja, to muszę pamiętać dzisiejszą datę, chociaż się pewnie zestresuję. Zawsze ją znam, bo mam w pokoju kalendarz na ścianie i termometr za oknem i co rano zaznaczam najniższą

temperaturę poprzedniej nocy, a także sprawdzam ilość deszczu w miarce na parapecie.

Lubię pogodę, a jak będę duży, to zostanę prezenterem prognozy pogody, bo takie osoby są słynne i przepowiadają przyszłość, a inni ludzie muszą się dostosowywać i ubierać w zależności od tego, co im się powie. No i do tego czasu, kiedy zostanę prezenterem, technologia będzie już tak rozwinięta, że prezenterzy pogody będą prosić komputer pogodowy o nazwie Nimbus, żeby przewidział, kiedy eksploduje jakaś bomba, wybuchnie wojna albo zdarzy się wypadek samochodowy.

Zamieszkało z nami nowe przybrane dziecko. Tata nazywa tego chłopaka „Robert Chmurny”, bo on uwielbia chmury. Minęły cztery dni, a on dalej jest ponury, przygaszony, cichy, ogólnie nudny. Często siada po prostu na zewnątrz w ogrodzie i patrzy na chmury albo coś czyta w swoim pokoju. Nie robi nic tajemniczego ani podejrzanego, więc szpiegowanie go naprawdę mi się nudzi, i to bardzo szybko.

— Chodźcie, chłopcy — mówi Mama przez drzwi do ogrodu, chociaż ja jestem w kuchni. — Muszę kupić parę rzeczy, ale potem zabiorę was na dobry obiad.

Mówi to głosem macochy, a nie głosem mamy czy żony.

Robert ma dwanaście lat, więc chyba niedługo skończy trzynaście. Może zresztą kłamie i tak naprawdę obchodził już urodziny ze swoimi złymi rodzicami, a teraz czeka, aż my zorganizujemy mu następne, jako życzliwi ludzie, którzy mu pomagają, bo mają dobre serce. Mama mówi, że dobrzy ludzie powinni mieć kilkoro dzieci, ale sama urodziła tylko jedno, mnie.

Biegniemy do samochodu jak garbusy z Notre Dame, bo znowu pada. Robert pierwszy raz jedzie naszym samochodem — poza

tamtą sytuacją, kiedy pojechaliśmy do wypożyczalni filmów, a Mama i Tata siedzieli z przodu i starali się zachowywać normalnie.

— Robert, ty też musisz usiąść z tyłu — mówię, biegnąc.

Mama osłania ręką włosy, obiegając samochód.

— Nie, nie musi — mówi. — Robert, wskakuj do przodu.

Zatrzymuję się na trawniku i patrzę na nich. Sztywnię i zamiast myśleć o tym, co właśnie powiedziała Mama, zaczynam się zastanawiać, dlaczego wszyscy zawsze robią takie zamieszanie z powodu deszczu. To tylko woda. Robert się obraca, patrzy na mnie, wzrusza ramionami i otwiera przednie drzwi. Nie potrzebuje pomocy w postaci apteczki samochodowej. Wsiada i zamyka drzwi.

Mama zapala samochód, ale nagle wychyla się z niego, bo z tyłu zaczyna się dymić. Twarz Roberta rumieni się w cieple, ale w strugach wody, które płyną po szybach, wygląda jakby smutniej.

Mama przez ten deszcz jest coraz bardziej zła i zaczyna się spieszyć. Zastanawiam się, ile milimetrów napadało do mojego zbiorniczka.

Każda kropla deszczu zawiera ziarenko brudu. To ono może być przyczyną zamieszania. Bóg umieszcza brud w deszczu, bo chmury muszą się zmienić w deszcz, ale do tego potrzebują czegoś jeszcze. Jak para wodna w łazience zamienia się w wodę na lustrze, na ścianach albo na oknach, tak chmurom potrzebny jest brud z powietrza, żeby się zamieniły w deszcz. Dlatego mamy nie lubią, kiedy deszcz pada na pranie.

— MŁODY CZŁOWIEKU, NATYCHMIAST WSIADASZ DO AUTA ALBO POWIEM COŚ, CO DA CI WIELE DO MYŚLENIA.

— ŻEBY JEŹDZIĆ Z PRZODU, TRZEBA SKOŃCZYĆ TRZYNAŚCIE LAT.

Czuję się małutki pośrodku trawnika.

— Raz!

— To NIESPRAWIEDLIWE.

Czuję się — jak mawia Tata — jak baran. Stoję na trawniku i nagle mi się wydaje, że mam krótkie, owłosione nogi, a włosy na głowie są zrobione z poskręcanej włóczki.

Nie skończyłem trzynastu lat, więc pewnie jestem tylko barankiem. Jak się skończy trzynaście lat, to się zaczyna prawdziwe życie i wtedy można być baranem. Teraz jestem tylko barankiem.

— Dwa!

— To NIEZGODNE Z PRAWEM!

Ludzie z powodu deszczu zaczynają głośno mówić. Na pewno przez ten brud.

Mama zdecydowanym krokiem idzie w moją stronę, a jej usta są przerażające. Robią się takie, kiedy jest naprawdę zła. Wtedy wargi jakby opadają po jednej stronie, odsłaniają się zęby i przygryzają kawałek ust. Tak samo jak u babci mojego kolegi Ralpha, która miała udar.

Biegnę do samochodu, ale Mama łapie mnie za nadgarstek. Deszcz bębni o dach samochodu, więc nie słyszę, co Mama mówi, ale MÓWI TO GŁOŚNIEJ, i w tej samej chwili ręka uderza w moje pośladki i nogi.

Robię dużo hałasu, jakby mnie bolało, żeby nie uderzyła mnie tyle razy, ile by to zrobiła, gdybym był cicho.

Otwierają się przednie drzwi samochodu i wysiada Robert, suchy, ciepły i blady. Zamyka je za sobą bardzo cicho, żeby nie zbić Mamy z tropu, po czym siada z tyłu i zamyka drzwi tak samo cicho. Mama ciągnie mnie za nadgarstek i krzyczy mi prosto w twarz. Ma zaślinione usta i mokre włosy. Wygląda jak wariatka i z tak bliska widzę czarne kropki na jej nosie.

— Nie doliczyłaś do trzech — mówię, powstrzymując płacz ze wszystkich sił. Wpycha mnie do samochodu i zatrzaskuje drzwi prawie na moich nogach. Wpadam na Roberta. Przesuwa się.

Następuje ta straszna chwila czekania, kiedy jesteśmy z Robertem sami, a Mama obchodzi samochód z tyłu. Na moim nosie kropla, a w niej niewidzialne ziarenko brudu.

Mama mówi — trochę do mnie, a trochę do siebie — przez dach samochodu i już sapie przy swoich drzwiach. Robert patrzy na mnie, a ja robię się czerwony jak burak i pewnie dlatego rzucam się do przodu i zamykam od wewnątrz drzwi Mamy. Zamykam też drzwi Roberta, zanim zdążył zareagować. Potem zamykam resztę i siadam na swoim miejscu. W tak dużej psiej budzie jeszcze chyba nie byłem.

Mama przestaje mówić. Słyszać tylko deszcz, mój oddech i silnik. Nie widzę jej twarzy, tylko bluzkę i płaszcz przeciwdeszczowy, trochę rozpięty.

Przez palącą chwilę nie robi nic, po czym pociąga klamkę i zaczyna bardzo krzyczeć.

Chyba nawet chichoczę, chociaż serce mi wali jak oszalałe.

Uśmiecham się do Roberta, ale on nie uważa całej sytuacji za śmieszną. Przestaję więc się uśmiechać i patrzę na kluczyki w stacyjce, które kołyszą się od szarpnięcia klamką. Silnik pracuje bardzo cicho, jakby mruczał. Auto naprawdę chodzi jak marzenie. „Majstruję” — mawia Tata, kiedy trzyma głowę pod maską samochodu. Zazwyczaj, jak Mama odkurza. Podaję mu narzędzia i razem udajemy, że coś naprawiamy.

— Śrubokręt.

Chirurdzy nie muszą mówić „proszę” ani „dziękuję”.

Robert zaczyna się wiercić, a ja się boję, że słyszy moje serce albo zbity tyłek, bo tak jak dzwon dźwięczy jeszcze chwilę po

uderzeniu, co słyhać dopiero, kiedy się podejdzie bardzo blisko albo dotknie się dzwonu, ale wtedy to bardzo ciche dźwięczenie się ucisza. Fajnie.

Patrzę przez szybę na brzuch Mamy i staram się nie płakać. Wtedy ona mówi zupełnie innym głosem, że mam natychmiast otworzyć drzwi.

— Powinieneś je otworzyć — mówi Robert, ale nie patrzy na mnie. Rzadko patrzy na kogokolwiek, więc pewnie ma jakiś mroczny sekret.

— Trzeba mieć skończone trzynaście lat — mówię do niego.
— MUSI MIEĆ TRZYNAŚCIE LAT.

Krzyżuję ramiona, żeby nie zrobiły tego, co im się każe.

Robert się pochyla i kładzie rękę na klamce.

— Nie, Robert — mówi Mama, zaglądając do środka. — Chcę, żebyś to TY otworzył drzwi.

Garbię się i patrzę na swoje buty, do których przykleiły się strzępki mokrej trawy. Na moim nosie jest jeszcze jedna kropla — a może łza, co by oznaczało, że ma w środku sól, a nie brud. Ciało ludzkie potrzebuje soli, aby wytwarzać smutek.

A może we łzach oprócz soli jest też brud i właśnie dlatego płacemy — żeby się pozbyć tego brudu. Człowiek, jak sobie płacze, to się lepiej czuje. Nawet jeśli się płacze na oczach Roberta.

Głos Mamy jest teraz bardzo ostrożny, jakbym był dzikim koniem na łące, a ona trzymała uzdę. Lubię, kiedy mówi tym głosem, chociaż się go boję. Gdybym był bohaterem, odjechałbym samochodem i nigdy nie wrócił. Odjechanie nie jest tak w ogóle złym pomysłem, inaczej będę bardzo długo siedział głodny w swoim pokoju.

Mama mówi do mnie pełnym imieniem, bo narobiłem sobie kłopotów, a ludzie zawsze przybierają formalny ton, kiedy są

kłopoty. Potem używa zdrobnienia, jakbym się stał dobrym chłopcem. Chciałbym zamknąć ich oboje na deszczu. Robert próbuje mi coś powiedzieć, ale ja zatykam uszy i krzyczę:

— LA, LA, LA! OGÓREK! KIEŁBASA! OGÓREK! KIEŁBASA!

Usta Mamy przestają się poruszać, więc wyjmuję palce z uszu.

— Robert, nic nie mów. Poradzę sobie — mówi Mama. — Dziękuję za pomoc, jesteś dobrym chłopcem.

W jej głosie pojawia się takie samo drżenie jak wtedy, kiedy mówi o Babci. Myślę, że ja też umrę, jak tylko wpadnę Mamie w ręce.

— Nie spotka cię żadna kara — mówi. Taaa, jasne. — Otwórz drzwi, a nie spotka cię żadna kara. Dostałeś już dzisiaj porządne lanie.

Używa teraz różnych swoich głosów.

— Przepraszam, poniosło mnie, ale naprawdę leje. NO DOBRZE, NIE BĘDZIE JEŹDZIŁ Z PRZODU, DOPÓKI NIE SKOŃCZY TRZYNASTU LAT!

— Kiedy masz urodziny?

— Czternastego maja — odpowiada Robert i zerka na mnie, jakby chciał sprawdzić, czy mi to odpowiada.

— Byk — mówię w zamyśleniu. — Byki są silne i uparte.

Jak tylko będę w stanie trzeźwo myśleć, dowiem się dokładnie, ile dni zostało do czternastego maja, ale chyba niewiele, bo jest już luty, a to oznacza, że za niedługo ja dalej będę więziony z tyłu, a Robert zasiądzie w centrum dowodzenia razem z moją Mamą.

Ocieram słone łzy, wspinam się po tylnym siedzeniu i zwijam się w bagażniku obok apteczki. Płaczę, pada deszcz, kulę się mocno.

Słyszę szcęknięcie zamka, a mój brzuch znika, zostaje po nim dziura.

Drzwi się otwierają, silnik milknie, Robert jest tak cicho, że wydaje mi się, że to nie ja, ale on jest w psiej budzie — jak mawia Tata, kiedy siedzę w prawdziwej psiej budzie. Czasami mój Tata trafia do psiej budy, a wtedy cmoka niecierpliwie i uśmiecha się do mnie: „Twój tata znowu wylądował w psiej budzie”.

Nie jestem pewny, czy Mama kiedykolwiek była w psiej budzie. Najpierw pewnie musiałaby tam odkurzyć.

Bagażnik się otwiera, a ona szarpie mnie za ten sam nadgarstek, za który trzymała wcześniej, i ciągnie za sobą. Mam wrażenie, że moje nogi biegną trochę w powietrzu, a trochę po ziemi. Uderza mnie jeszcze kilka razy. Jej pierścionek rani mnie w ucho. Płacę jednocześnie z miliona powodów i płaczę, bo płaczę. Płacz mnie smuci, tak jak wymioty wywołują odruch wymiotny.

Mama usiłuje wyjąć klucze do domu i mówi za szybko, żeby to miało jakikolwiek sens, a ja nienawidzę wszystkiego: tego, jak niesprawiedliwie jest nie być dorosłym, i tego, że Robert patrzy. Jego nienawidzę najbardziej. A jeszcze bardziej nienawidzę jego rodziców za to, że byli źli, bo gdyby byli dobrzy, tak jak moja Mama, to nie musiałbym się nią dzielić.

Mama zawsze mówi, że nie lubię przybranych dzieci, bo jestem jedynakiem, ale myślę, że byłoby świetnie mieć prawdziwych braci i prawdziwe siostry. Czasami udaję, że ich mam. Myślę, że chciałbym mieć brata, dopóki nie skończę trzynastu lat. Potem mógłbym się zmienić w dziewczynkę, która zapraszałaby do domu swoje koleżanki, a do tego czasu już lubiłbym dziewczyny, więc miałbym cały harlem.

Tata mówi, że chciałby mieć harlem. Wtedy mógłby przy nim majstrować, kiedy Mama odkurza.

Siedzę teraz w swoim pokoju i nie mogę z niego wyjść, dopóki Mama mi nie pozwoli. Zabroniła mi w tym czasie wstrzymywać oddech.

I tak wstrzymuję oddech, żeby zmierzyć sobie czas.

Trzydzieści osiem sekund. Moje płuca wciąż się rozszerzają.

Zapisuję wynik w tabelce. Potem zdejmuję ubrania i zakładam suche. Idę popatrzeć na zbiorniczek deszczu na parapecie. Trzydzieści cztery milimetry. Całkiem sporo. Zapisuję wynik w tabelce. Potem wyobrażam sobie cały obszar, na którym spadły trzydzieści cztery milimetry deszczu. A potem wyobrażam sobie deszcz na całej mapie pogody i prezentera, który rozkłada ramiona, zgarnia deszcz z całej mapy i kieruje do dużego zbiornika pomiarowego na parapecie krajowego centrum meteorologicznego. Zastanawiam się, jak wysoki musiałby być zbiornik, który pomieściłby te trzydzieści cztery milimetry z tak dużej powierzchni. Próbuję to sobie wyobrazić. Dlatego trzydzieści cztery milimetry deszczu to całkiem sporo, kiedy myślę o tym w ten sposób. Bo trzydzieści cztery milimetry może mieć siusiak Roberta, ale kiedy się weźmie wszystkie trzydzieści cztery milimetry w całym kraju, to będzie ogromny siusiak. Przerażające, jaki ten świat jest wielki.

Potem próbuję sobie wyobrazić, ile spadło brudu, jeżeli spadły trzydzieści cztery milimetry deszczu, ale zaczyna mnie boleć głowa.

Ciągle siedzę w swoim pokoju, kiedy do domu wraca Tata. Podrzuca mi ukradkiem jogurt (truskawkowy) i jabłko (jabłkowe) na kolację. No i upomina mnie, ale tak naprawdę jest miły. Mówi, że to trochę śmieszne, że się kłócę o to, że Robert zasiada w centrum dowodzenia, zwłaszcza że on skończy trzynaście lat za parę miesięcy, a mnie jest wciąż bliżej do dziecka niż do tego wieku, a i tak czasami jeżdżę z przodu.

Ma rację — oprócz tego dziecka. Proszę, żeby mnie otulił i pogłaskał po czole, aż zasnę.

Otula mnie i głaska po czole, co zawsze mnie uspokaja, ale nigdy nie robi tego tak długo, aż zasnę, ten mój Tata. Trochę dlatego, że zaczyna się nudzić, a trochę dlatego, że tak bardzo chcę zasnąć, zanim on się znudzi, że nigdy nie czuję się dość śpiący. A do tego zawsze na koniec dla żartu udaje, że dłubie mi w nosie, a ja zawsze na koniec jestem poirytowany i zadziwowany, więc Tata po prostu się śmieje i całuje mnie na dobranoc. Błagam go o jeszcze jedną minutę, a on zostaje tylko trzydzieści sekund.

To nasz codzienny rytuał, który — po tym, co się dzisiaj zdarzyło — sprawia, że mam mniej siniaków w brzuchu.

— O której godzinie Robert chodzi spać? — pytam Taty, kiedy wychodzi, ale mówi mi, żebym nie poświęcał tak wiele uwagi Robertowi, który jest starszy ode mnie.

— Porównywanie się nie przynosi żadnych owoców — mówi. Jest to jedno z jego powiedzonek, które nie mają żadnego sensu, ale zdają się znaczyć „nie”.

— Ale czy ma wyznaczoną porę?

Tata mnie ucisza, wraca i jeszcze chwilę głaszcząc po czole. Pachnie gotowaną marchewką i piwem. Potem powoli, równocześnie z każdym delikatnym ruchem ręki, ale bez dłubania w nosie, mówi:

— Jesteś. Moim. Synem.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA



Helion SA

Mam osiem lat. Byłbym jedynakiem, gdyby moi rodzice nie postanowili zbawić świata i adoptować innych dzieci. Kolejni chłopcy w moim domu są jak najeźdźcy, którzy pochłaniają czas i uwagę mojej matki. Powinienem być dla niej najważniejszy, a traktuje mnie tak, jakbym to ja był przybranym dzieckiem. Nienawidzę jej za to. Kocham i nienawidzę. Czy to, co robię, jest złe? Mam tylko osiem lat...

Tragiczne wydarzenia, które już wkrótce rozegrają się w tej rodzinie, sprawią, że pogmatwane relacje między matką i synem staną się jeszcze bardziej napięte. Chłopaki nie płaczą... ale czy to znaczy, że nie odczuwają smutku, frustracji, złości, zazdrości, rozczarowania? Czy to znaczy, że nie mają prawa do odrobiny miłości?

Emocje, które towarzyszyły bohaterowi, gdy był dzieckiem, nie straciły na intensywności mimo upływu czasu. Teraz ma dwadzieścia osiem lat i powraca do rodzinnego domu, by zaopiekować się schorowaną matką – i wszystkie te uczucia wybuchają z nową siłą. Co odcisnęło takie piętno na wrażliwym dziecku, że po wielu latach, podczas emocjonalnej podróży do miejsca budzącego przykre wspomnienia, wciąż nie potrafi uporać się z przeszłością?

Oto powieść na miarę najlepszych dzieł Doris Lessing. Ta historia rozpisana na dwa głosy – małego, zagubionego chłopca i dorosłego mężczyzny, patrzącego na rzeczywistość przez pryzmat swojego dzieciństwa – to intensywne, poruszające i niepokojące doświadczenie, o którym długo nie będziecie potrafili zapomnieć.

„DOSKONAŁY WGLĄD W PSYCHIKĘ DZIECKA” J.M. COETZEE

Wtedy głos księdza się zmienia, jakby zdradzał nam jakąś tajemnicę. Mówi, że wie, że każda matka ma w brzuchu taki kamyk. Że wie, że wszystkie matki noszą takie kamyki tam, gdzie kiedyś nosiły dzieci. I że te matki są bardzo dzielne, dlatego że mają te kamyki. I że już zawsze będą nosiły w brzuchu te kamyki zamiast dzieci, które straciły.

Patroni medialni:

GRANICE LITERATURY
sens

{ opętani
czytaniem }

LUBIĘ
CZYTAĆ

granice.pl
wspierają literaturę

Nr katalogowy: 13924



Księgarnia internetowa:
http://editio.pl



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



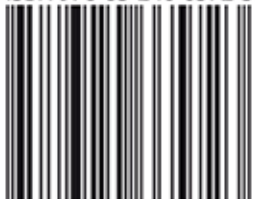
0 601 339900

editio

Hellon SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

Cena: 39,00 zł

ISBN 978-83-246-6572-3



9 788324 665723